

Upraszamy o nadsyłanie przedpłaty. Wynosi ona rocznie z przesyłką do domu 5 koron, półrocznie 2 K. 60 hal., kwartalnie 1 K. 40 hal.

Adres Administracji: Lwów, Rynek I. 44, I. piętro.

WŁODZIMIERZ SULIMA POPIEL.

Pies swatem.

Wojtek Śliz chodził zamyślony od kilku godzin, i nie mógł nigdzie sobie miejsca znaleźć. Wyglądał co chwila na obore, obchodził domostwo całe i znowu wracał do izby, siadał na ławie pod oknem, wzdychał i dumał.

Ciężko mu jakoś było na duszy.

Maryś, którą poślubił przed rokiem, umarła mu zeszłego tygodnia, zostawiając całe gospodarstwo na jego głowie. I marniało wszystko do szczętu, bo jakże jeden chłop na całe gospodarstwo, mógł bez babkiej pomocy sobie poradzić?

A dziś przy świętej niedzieli, jakby na pokusę, nagadali mu gospodarze w karczmie o Hance Karpowej.

Ha, wdowa bo wdowa była, ale bogata i rześista — zuch baba!

Więc myślał sobie Śliz, czy nie byłoby dobrze Karpową poślubić, bo i majątek po chłopie miała dość spory, i taka była zalotna, taka gładka i przylepna, że na samo wspomnienie, brały go do niej cięgoty. Tylko w głowę zachodził, jakby się z Karpową najpierw pogodzić, bo niedawno wadził się z nią o miedzę, a potem w sądzie na terminach stawał.

Wstał z ławy, przeciągnął się, ziewnął i spojrzął w okno.

Noc już ogarnęła ziemię, a na niebo wtaczał się krąg księżyca, srebrząc ciemną smugę lasu widniejącą w dali.

Śliz patrzył chwilę w zamyśleniu, bębniąc palcami po szybie; poczem odwrócił się, wziął kij w garść, zasunął kapelusz na głowę i wyszedł.

Cicho było w całej wsi. Tylko drzewa gaworzyły cicho, wyciągając ku niebu swoje ramiona.

Śliz szedł z pochyloną głową kawał drogi, wreszcie skrzył w bok, wlokąc się powoli opodal strugi rzecznej, w której odbijały nadwodne drzewa swoje czarne cienie. Tu i ówdzie, z okien rozrzuconych domostw, przebijały się żółte światła.

Śliz stanął, oparł się plecami o przesadzistą wierzbę i wbił oczy w dal.

Naleciały go zaraz różne smutne myśli. Ciarki poczęły go ogarniać, gdy wspomniak, że gospodarstwo zmarnieje mu bez babskiej opieki.

I jakże mu było radzić? Brać tę, którą mu gospodarze raili w karczmie, dzisiaj przy świętej niedzieli? Wszakże dopiero tydzień minął od śmierci Maryśki, jeszcze zmarła nieboraczka nie zastygła całkiem w grobie, jeszcze w domu wszędzie na każdym kroku znać było jej gospodarną rękę, a już miałby myśleć o innej?

Przejęło go uczucie wstydu i żalu serdecznego. Zwiesił głowę na piersiach i łzy stanęły mu w oczach.

— Grzech... grzech... dla Boga!... — jęczał głucho, trąc oczy kułakami.

Zamajaczyły przed nim w całej krasie szczęśliwie spędzone chwile ze zmarłą żoną. A było mu z nią nieraz tak dobrze, tak słodko...

Księżyc w całej pełni płynął z wolna po pogodnym niebie. Po obejściach poszcukiwały monotonnie psy, a strumień u stóp jego płynący, szemrał tajemnie, złocąc i mieniając swoje wody w księżycowym świetle.

Śliz stał nieruchomo, wsłuchał się w tę muzykę nocną i wzdychał co chwila.

— Maryś... Maryś!... — zajęczał naraź żałośnie. — I jakoż mnie samemu na świecie tak ostać i marnieć. Toć i w niebie byłoby ci weselej, gdyby twój wojtek Hankę Karpową wziął i przyrodziewek pozostały po tobie, nie marniałyby w skrzyni, bo by go Hanka znosiła. Toć przecie nie rają mi ja żadne obieżyświaty, tylko sami porządni gospodarze. Hej Maryś. Maryś! Sama wiesz najlepiej, jaka Karpowa gospodarna, że nawet żadna dziewczucha ze wsi jej nie sprostą. Przecie mnie tylko przez tę gospodarność cięgoty do niej biorą. Dałibóg Maryś, że tylko jej gospodarność na sercu leży. Bo i jakoż mi na jej urodę patrzeć, kiedy mnie jeszcze po tobie okrutna żałość serce ściska. Nie ostanę ci ja sam marnieć niebogo. Zdaje mi się, że po Bożej woli mnie się wdowa patrzy, bo ona tylko po tobie gospodarstwo sprawować jest godna.

I zdało mu się, że widzi już Hankę w swojej chacie, że obejmuje i pożera ją oczyma.

Chciał on sam niegdyś zenić się z Karpową, kiedy jeszcze dziewczką była. I ona nie była mu wtedy przeciwną. Tylko, że rodzice nie chcieli dodać jej do wiana łaciastego prosiaka, więc zerwał z nią i nieboszczkę Maryśkę pojął.

Cicha księżycowa noc rozmarzyła go, nastroiła jakąś niewypowiedzianą tkliwością. Mimo woli wzdychał, a myśli jego ulatywały ciągle w stronę zagrody wdowy.

Ruszył z miejsca i szedł bezwiednie naprzód. Coś gnało go w tę czarowną pogodną noc, jakąś tęsknica osiadła mu na sercu. Sam nie wiedział, czemu skierował swoje kroki w stronę mieszkania Karpowej.

Rychło znalazł się przed jej domem. Podeszedł pod same okna, chcąc zajrzeć do wnętrza, kiedy nagle z za węgła domu wypadł duży kudłaty pies.

Śliz odskoczył w bok, i nie chcąc być spostrzeżonym, przyłgnął do wysokiej sterty drzewa. Ale zamiast uchylić się przed czujnym uchem złośliwego kundysa, zwrócił na siebie całą jego uwagę, gdyż trącone polana drzewa, poczęły zsuwać się i spadać z hurkotem na ziemię.

Pies porwał się w tę stronę i głośno zajądł szczekanie napełniło cały podworec.

Wojtek począł opędać się kijem, ale pies podrażniony, darł się ku niemu jak wściekły, groząc białymi łapami.

Śliz rozglądał się. Uciekać ani mowy, bo rozżarty pies byłby mu piętą poobkasywał, a schronić się nie było gdzie. Par-

kan za słaby i za wysoki, pozostawał więc tylko jedyny ratunek, wdrapać się na stertę drzewa. W jednej chwili począł się spinać ze zručnością kota. Sprawa nie była jednak tak łatwą, jak się na pozór zdawało. Kraglaki drzewa rozsuwały się co chwila, a on, będący już na szczycie sterty, znajdował się w jednej chwili znowu na ziemi, gdzie zajądł pies obgryzał mu łydki i pięty.

Szczekanie psa i rumor walącego się drzewa, wywołały rychło czujną gospodynię z domu.

Sytuacja dla Śliza stała się wprost rozpaczliwa. Zrozumiał rychło, jaki wstyd go czeka, jeśli wdowa zaalarmuje sąsiednich gospodarzy.

Chwycił się więc rozpaczliwie za wystające łaty drzewa, usiadł na samym szczycie i znalazł się nareszcie bezpiecznym przed rozżartym psem.

— Hanka weźcie psa — począł Śliz błagalnym głosem.

— Burek zabij go... wrr... wrr...! — odpowiedziała wdowa.

— Hanka, dla Boga... przecie przyszedłem pogodzić się z wami — szeptał rozpaczliwie Śliz.

— Ha! pogodzić się. Drwa kraść chciałeś. tak jak ukradłeś mi miedzę.

— Nieprawda, nie...

Kobieta podparła się pod boki i poczęła szczuć psa coraz bardziej.

— Burek, bierz złodzieja... zabij!...

— Hanuś... Hanuśka... dajcie pokój... oddam wam miedzę, tylko nie krzyczcie, bo sąsiedzi się zbiegną.

— Niech się zbiegną, zobaczą jak wdowę okradasz.

— Przecie ja za tobą Hanka, nie za drzewem tutaj przyszedł. Swaty chcą posłać do ciebie, pogodzę się już...

— Widzisz go, za mną przyszedł. A czegoś swatów wpierw nie przysłał, czegoś przyszedł kraść? Mało ci było miedzy, mało mojej krzywdy? Burek zabij go... wrr... wrrr!...

Kundys jeszcze z większym impetem począł rwać się ku niemu, groząc ostrymi łapami.

— Hanuś... — wyszeptał Śliz błagalnie, — odpędź Burka... odpędź... sąsiedzi się zbiegną... Przecie ja tylko ciebie chcę, a nie twojej krzywdy...

— A czegoż dwa roki temu nie chciałeś mnie brać, hę?

— Bo ci ojcowie łaciastego prosiaka do wiana dodać nie chcieli. Jakoż mi było ciebie brać niebogo, jako?

Umilkli oboje. Tylko Burek szczekał ciągle zajądł i wyciągał pysk do zwisających nóg Śliza.

— Hanuś... — szepnął po chwili głos cichy.

— Hę? — odpowiedziała kobieta.

— Odpędź Burka, odpędź!...

— A miedzę mi oddasz?

— Oddam... i pola kęs ci przyczynię...

— I na prosiaka dybał nie będziesz?

— Nie będę Hanuś.

— Weselisko kiedy sprawim?

— Radbym... nawet zaraz...

Wdowa uśmiechnęła się. Po chwili odpędziła psa na bok.